

Z. Kowalski. 6/9.1921.

IERMAN DIAMAND

# OBRAZKI LONDYŃSKIE

Kolekcja  
Emila Kornasia



LWÓW

NAKŁADEM LUDOWEGO SPÓŁDZ. TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO

1921



CM KEM 330449

Z DRUKARNI LUDOWEGO SPÓLDZIELCZ. TOWARZYSTWA WYDAWN,

wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 257 / 201 / 4 01

## W Hyde-Parku.

19. kwietnia 1921.

Przyjechałem w nocy. Myślałem, że odrazu będę miał wrażenie walki strajkowej, ale to się nie sprawdziło. Ruch kolejowy zupełnie normalny, na stacji Wiktorji tłok, ścisk, gwar, pociąg zajeżdża za pociągiem, między pociągami nieskończone szeregi samochodów i dorożek, gdzieś tam charakterystyczny „cab“ (karetka), będący na wymarcu. Publiczność rwie się do pakunków i znalazłszy je w nagromadzonych stosach, znika czempredzej. Zupełnie, jak dawniej.

Rano wychodzę z hotelu, na ulicy londyński ruch. Samochodów namnożyło się w nieskończoność, konie już rzadsze. Na przejściu, wzniesiona opaska na rękawie policmena, znana dzięki Wojciechowskiemu i w Polsce, wstrzymuje pojazdy. Dwie niańki, posuwając przed sobą wózki z dziećmi, powolnym krokiem przechodzą przez ulicę. Zatrzymały kilkadziesiąt samochodów i kilka dużych autobusów, his majesty the baby...\*) Zupełnie, jak przed wojną.

Mieszkam blisko Hyde-parku. Kieruję swe kroki ku bezbrzeżnemu ogrodowi sportu, mityngów i zabaw londyńczyków. Rezerwoar powietrza, płuca jednego z największych zbiorowisk ludzkich na kuli ziemskiej.

To już nie dawny Hyde-park, ale raczej dwa, dawny i nowy, toczące swe wartkie fale obok siebie, jak dwie potężne rzeki równoległe, biegnące w przeciwnym kierunku.

---

\*) Jego Mość — dziecko.

Aleje dla jeźdźców — pełne, jak zawsze. Przedpołudnie dnia pracy i biznesu, więc na koniach przeważnie niewiasty, emeryci z City (dzielnicy handlowej) i dziatwa. Często towarzystwa całe, mniej lub bardziej liczne, czasem rodzina, ojciec otoczony kwitnącymi buziakami dziatwy. Inni znówu samopas, bądź splinem dręczeni, bądź popisując się sztukami wyższej szkoły jazdy. Wszyscy siedzą w siodle, jakby się z niem zrosli. Niewiasty przeważnie w męskich strojach, obcisłych surdutach po kolana długich, w butach czy kamaszach, stokroć lepiej wyglądają, niż ich siostrzyczki w kuszach, powyżej kolan spódniczkach i przejrzystych pończochach.

Konie od najpiękniejszych okazów pełnej krwi arabów i anglików do wymęczonych i zniechęconych o niechybnym piętnie tatersalu.

Jezioro roi się od łódek, dzień wiosenny, obraz uciechy, pogody... beztroski.

Ależ tuż obok — strumień drugi, — ogromny, nieprzejrzany obóz przygotowań do walki ze strajkiem powszechnym.

Deptane od wieków bezkarnie i bez szkody trawniki, pokryte już zieloną, świeżą, gęstą trawą — obsiane namiotami.

Tu punkt centralny dla najrozmaitszego typu samochodów, mających, na wypadek strajku, zwozić mleko i inne środki żywności. Wzdłuż alei szeregi samochodów, znaczonych kartkami, jako służbowe. Co chwila nadjeżdżają nowe, komisja je bada i rejestruje, istny pobór samochodów.

Ze wszystkich stron dochodzą tony niezwykłych, huczących i gwizdzących orkiestr. Z za drzew wyłania się jedna na czele batalionu wojską.

Pierwszy kroczy tambour-major elastycznie zataczając koła pałeczką, za nim trzy czy cztery szeregi kilkunastoletnich żołnierzy, walących miarowo w bębny, za nimi duży bęben, dwie pary czyneli, zamyka orkiestrę dwudziestu, czy więcej żołnierzyków, gwizdzących na flecikach. Wygrywają monotonną melodię, jakby zapożyczoną z Indji.



Na czele bataljonu, czy pułku dwóch oficerów na koniach, otoczonych czterema żołnierzami po nad 6 stóp wysokimi, z karabinami na ramieniu, tworzących czworobok. Za nimi sierżant z grubą krótką laską w ręku. Oddział za oddziałem, chłopcy ogromnego wzrostu, wzorowo odziani, rzuca się jednak w oczy nieużywanie, poza butami, skóry. Wszystkie pasy, torby i torebki parciane.

Gdy muzyka odpoczywa, żołnierze gwizdzą, inni półgłosem śpiewają pieśń, której rytm kłóci się z tempem marszu nie przeszkadzając jednak w wybijaniu nogami taktu.

Kensington-Park oddzielony od Hyde-Parku żelazną przegrodą, teraz dla publiczności zamknięty, obozuje w nim 4000 gwardji.

W innych miejscach małe oddziały ćwiczą się, w niektórych namiotach huczą motory, w innych grupa marynarzy dokonywa jakiejś pracy, wszystko wre obozowem życiem. Prawda, życiem obozu ćwiczeń wojskowych, a nie wojny. Ale nikt nie wie, co przyniesie dzień, czy godzina następna.

Wśród obozu snują się przygnębione postacie robotników, widocznie bezrobotnych, przypatrują się żołnierzom i namiotom, ale spojrzenia ich nie zdradzają ani wzburzenia, ani nienawiści, zachowują się jako widzowie ciekawych, a niezwykłych zajęć.

Trzeba Anglię znać, aby ją zrozumieć, i ze spostrzeżeń sąd sobie utworzyć.

---

## Trudności gospodarcze.

22. kwietnia.

Dzisiaj ma odbyć się konferencja w sprawie strajku górników. Sążniste plakaty, rozlepione przez rząd na murach miasta, dzwonią na alarm. Barwnymi literami wzywają do obrony narodowej. Oszczędzajcie węgiel! Oszczędzajcie gaz! Oszczędzajcie elektryczność! Słowa te w danej chwili działają, jak groźny okrzyk: gore, lub dzwon w wiosce rybackiej, zwołujący ludność do ratowania statku, miotanego przez rozszalałe fale morskie.

W ubiegłym tygodniu zapobiegł katastrofie strajku trójporozumienia, najważniejszych związków (górników, kolejarzy i robotników transportowych) sir Edward Wild, przywódca wpływowego dziś bardzo związku parlamentarnego, „nowego ugrupowania“ 120 posłów.

Udało pociągnięcie policzają jedni sir Wildowi, jako czyn polityczny — inni jako udały „trick“ (sztuczkę) w interesie Lloyd George'a. Udało się rozbić solidarność trzech związków, pozornie zdecydowanych do natychmiastowego podjęcia walki, spowodowaniem sekretarza górników do zgody na nowe układy z właścicielami kopalń.

Górnicy wprawdzie nie zgodzili się na stanowisko swego sekretarza, ale kolejarze i transportowcy oświadczyli, że zgoda przedstawiciela górników na propozycje sir Wiloa ze sprawy ogólnej zrobiła sprawę jednego zawodu, zwyczajną walkę o polepszenie warunków pracy.

Ma się wrażenie, że związki, powołane przez górników do pomocy, skorzystały z chwilowej

przemijającej sytuacji, by wycofać się ze zbyt pośpiesznie przyjętego zobowiązania.

Trudno sobie wyobrazić, by kilkadziesiąt tysięcy szoferów londyńskich, prowadzących autotaksy i omnibusy samochodowe, tak łatwo zgodziło się na utratę znacznych zarobków drogą strajku z sympatji dla walczących górników, gdy wynik konferencji sir Wilda wskazywał możliwość załatwienia sprawy drogą układów.

Jeżeli rzecz pójdzie drogą przewidzianą przez Lloyd George'a, to zdecydowany on jest do wyzyskania swego zwycięstwa w całej pełni. Przyjaciele jego zapowiadają rozwiązanie parlamentu i nowe wybory. Niechaj wyborcy się oświadczą, po czyjej stronie stoją, czy zwycięskiego Lloyd George'a, czy pokonanych górników, którzy grozili ludności utratą światła, opału i tysiącami innymi nieprzyjemnościami.

Zwycięskie wybory osłabiają nietylko Labour party (Partję Pracy), ale usuną niejednego groźnego skądinąd przeciwnika i (na długi czas zapewnią) władzę żelaznej dłoni Lloyd George'a.

Może i widoki odsunięcia się od wszelkich radykalizmów uśmiechają się dawnemu radykałowi skrajnemu. Jak to ładnie, gdy fala uniesie kogo tam, gdzie dusza jego być pragnie, a dobrowolnie dostać się nie wypada.

Skutki wojny dają się we znaki i bogatej Anglii o niewzruszonej walucie. Po za strajkiem górników, setki tysięcy robotników innych zawodów jest bez pracy z powodu zastoju w zbyciu, a stąd w następstwie i w produkcji. Światowe gospodarstwo społeczne zbyt jest skomplikowane i zbyt potężne, by przewroty, wywołane wojną, usunąć się dały planikami jednostek, zresztą bardzo możliwych i dowcipnych.

Niedawno jeden z oponentów Lloyd George'a wołał w Izbie gmin: dajcie nowopowstałym krajom duże kredyty, by towary nasze kupić mogły, dajcie Polsce 20,000.000 funtów, dajcie więcej, by, kupując towary nasze, miejsce zrobiły dla nowej wytwórczości. Zawiązano potężny bank dla kredytu

na eksport towarów, ale i ten narazie chroma. Snują plany bonów międzynarodowych, udzielanych na zastaw państwowo finansowo słabym, a przyjmowanych w państwach bogatych w pełnej wartości nominalnej. Ale zaborczość bogatych, imperjalizm silnych, nieokiełzana chęć zysku, niepohamowana żądza panowania stoją na drodze pięknym planom, obmyślanym przez — mimo szalonego sprytu — naiwnych.

Mimo wiecznych niebezpieczeństw, mimo ciągłych gróźb buntów i przewrotów, kiełkują nowe plany wyborcze szukające nowych terenów eksploatacji, jeżeli nie w Europie, to na wschodzie dalekiej Azji.

Zawistni, nienawistni przyjaciele, nie podzieliwszy jeszcze ostatnich łupów, drą się o nie, dzielą już pomiędzy siebie skórę nieubitego jeszcze niedźwiedzia — Chin. W tym celu Anglii trzeba silnych rządów, trzeba parlamentu, wybranego pod hasłem Lloyd George!

A wewnętrzne stosunki? — Jakoś to będzie.

Anglja, tak bezbrzeżnie wielka, tak niezmiernie bogata, a podziemnymi kanałami wszystkie jej bogactwa spływają do Londynu. Bez przerwy strumień złota płynie do kas banków londyńskich, banków nie Anglii, ale świata całego. Jeden bank Barkleja, a jest takich więcej, ma w samym Londynie 250 filji. Poza tramwajem, poza rozgałęzioną koleją podziemną, dziesiątki tysięcy samochodów i wiele tysięcy autobusów, służą komunikacji publicznej, są na zawołanie przechodnia, przewożą dziennie miliony ludzi. Stoły sklepów uginają się pod ciężarem skarbów całego świata, a jednak mimo setek tysięcy rąk bezrobotnych, łaknących pracy, mimo pieniędzy bez liku, jakby memento stoi na jednej z pierwszych ulic Londynu na Pikadilly, żelazny szkielet domu olbrzymiego hotelu Park-lane. Konstrukcja żelazna ustawiona bezpośrednio przed wojną, nie może się powlec ciałem, nie może nabrać życia i miliony włożone w grunt i misterny splot belek żelaznych, są stracone.



Bezkarne nie prowadzono wojny i kraje zwycięskie i kraje znające grozę wojny jeno z opowiadania swych kalek, muszą zaznać jej skutków. Bezkarne nie wytrącono z równowagi gospodarstwa światowego. Potworny kryzys, duszący sępiemi szponami wytwórczość i wymianę towarów, sztyderym śmiechem zapełnia powietrze w odpowiedzi na jęklive plakaty: Oszczędzajcie węgiel... oszczędzajcie... oszczędzajcie...

I drobniejszych problematów powojennych bogata Anglja rozwiązać nie umie. Zdemobilizowani snują się, jak mary po ulicach Londynu. Orkiestra zdemobilizowanych oficerów do żebraczych puszek zbiera opłatę za koncerty, urządzone na rogach ulic. Na drugim rogu gentleman w masce na twarzy apeluje do serc współobywateli o nagrodę za usługi oddane Ojczyźnie. Zamiatacze ulic, najniższa służba w szynkach i garkuchniach, zdobi swe łańchmany kolorowemi wstążeczkami, otrzymanemi jako jedyna nagroda, za waleczność i bohaterstwo. Zdemobilizowani w zastraszający sposób obniżają płacę, szczególnie w zawodach intelektualnych. O złą wolę Anglji posądzać nie można, jest naprawdę bezsilna, chyba że... wojna z Chinami i to niekoniecznie wojna krwawa da dosyć zajęcia wykołajeńcom imperjalizmu.

Wystarczy może dla Chińczyków, równie bolesna inwazja finansowa.

Reakcja polityczna i reakcja społeczna — to rozpaczliwe usiłowania restytucji zachwianego w podstawach kapitalizmu. Na klasycznym gruncie kapitalizmu, terenie studjów Marksa i Engelsa, w Anglji, poczynają atoli przejawiać się linje nowego ustroju, tworząc narazie formy pośrednie, formy przejściowe.

W krajach kapitalistycznych jednocześnie z jednej strony kapitalizm dochodzi do najwyższych form swego rozwoju, z drugiej poczyną ustępować gruntu nowemu ustrojowi gospodarczemu — społecznemu.

## Niedziela w Londynie.

24. kwietnia.

Niedziela angielska rozpoczyna się w sobotę po południu. Ruch uliczny staje się słabszy, wozy towarowe znikają i w miarę zbliżania się wieczoru, zmniejsza się frekwencja samochodów i autobusów. I przez najruchliwszy plac można spokojnie przejść, nie obawiając się przejechania, nie wyczekując zatrzymania przez policjanta nieprzerwanego łańcucha pojazdów. Łańcucha niema, gdzie-niegdzie tylko samochód. Nastaje spokój i cisza, potwór miejski przestał huczeć i jęczeć... odpoczywa.

Sposób święcenia niedzieli przez Anglików przypomina sobotę w małym miasteczku żydowskim. Poważni ludzie nie wychodzą z domu, czytają pismo święte i rozmyślają. Nastrój ten przenosi się na ulicę, ogarnia Hyde-park.

Przed oparkaniem, zamykającym ogromną trzode owiec dużych, obrosłych w długie po ziemię, gęste runo, w obliczu zieleniejących trawników i kwitnących drzew, stoją blisko siebie głosiciele religii, i wierzeń oficjalnych i nieoficjalnych i starają się zdobyć dla swej myśli serca ludzkie. Niema tu hierarchji, niema religji bardziej lub mniej uprzywilejowanych, trzeba stanąć na równi ze związkami religijnymi czy nawet osobnikami, głoszącymi swą indywidualną prawdę i działać na serce i umysł ludzki bez pomocy policji czy prokuratorów, że tak powiem — w wolnej konkurencji stanąć do walki.

Wszyscy mówcy rezygnują z działania blaskiem i pompą zewnętrzną, przeciwnie, każdy

stara się działać najprostszemi środkami, gołemi rękami.

Pragnąłbym, by nasi Lutosławscy widzieli, jak działają po apostołsku wysłannicy odmiennych myśli, wśród narodu kulturalnego.

Wśród ogromnego tłumu wystaje najbardziej ksiądz katolicki, mający najwyższą drabinkę, służącą za mównicę. Na głowie ma cylinder jedwabny i mimo, że ubrany jest w sutannę angielskiego kroju, i przy sobie ma duży krzyż, mówi kazanie nie obnażając głowy. Wogóle Anglikom nie zlatuje tak łatwo kapelusz, czy czapka z głowy, jak nam. Nakryta głowa to znak wolności, niewolnik wobec pana głowę odkryć musi, to też posłowie w parlamencie podczas posiedzenia głów nie odkrywają, jeno mówca na dowód swego szacunku dla przedstawicielstwa narodu, mówiąc, zdejmuje kapelusz.

W Hyde-parku wszyscy są równi i wolni i nikogo nie razi, że kapłan wobec krzyża przemawia, nie zdejmując cylindra. Ksiądz katolicki co chwila wskazuje ręką na niebo i bardziej zdaje się działa groźbą, niż obietnicami.

Tuż obok, tak, że słuchacze jednego i drugiego mieszają się z sobą, stoi na ziemi siwy gentleman w zwyczajnem ubraniu, bez drabiny, bez stołka, bez tablicy, zawierającej krótkie wyznanie wiary, i grupuje około siebie najwięcej słuchaczy. Tłok taki, że dalsi słów rozumieć nie mogą, czekają jednak, aż bliżej stojący zrobią im miejsca.

Ten mówca działa głównie bystrością dowcipu. Każdą uwagę przeciwnika, a uwag tych jest bardzo wiele, chwyta w mig i kwituje odprawą, wywołującą salwę śmiechu. Jego nie razi groźny zapal księdza katolickiego, a tego nie gniewa jędrny humor sąsiada i jego przelicznych słuchaczy.

We właściwym sobie żywiole jest w Hyde-parku Armja zbawienia, starająca się zbawić umysły najprostsze, najpierwotniejsze. Nikogo nie razi mundury z napisami Solvations army — (Armji zbawienia), nikogo nie dziwią melodje ludowe, służące za podkład muzyczny ich pieśniom naboż-

nym. Kapłanami są sami „zbawieni“, nawróceni niedawno, pozornie straceni w Sodomie wielkiego miasta. Ci ludzie wierzą naprawdę, nie rozumują, nie mędrkują. Oni chcą ratować tonących, chcą im dać moc do wytrwania w cnotliwej walce o byt, a że sami wierzą, więc porywają innych, a że sami cierpieli i śmierci moralnej w oczy patrzyli, umieją przynieść pomoc i ratunek towarzyszom niedoli.

Stoją po za sektami religijnymi czy politycznymi i wyciągają rękę do tonących. Mają orkiestry, sztandary, mundury, przystosowują się do upodobań środowiska, wśród którego żyją, wiedząc, że to działa na umysły zrozpaczonych biedaków.

Ile razy przypatrywałem się takiemu nabożeństwu i w innych krajach po za Anglią, zawsze czyniłem te same spostrzeżenia. Śpiewa czy mówi żołnierz czy oficer „Armji“, mężczyzna czy kobieta, zawsze przejęci swem zadaniem, zawsze przenika, może nie ze słów, ale z tonu prośba: chodź do mnie, ja ci pomogę, zrób to jeżeli nie dla siebie, nie dla tych, którzy Ciebie kochają, zrób to dla mnie. Wokoło nawróceni stoją i słuchają i potakują, gdyż to wszystko wychodzi z głębi i ich duszy.

Publiczność z początku uśmiechnięta to ironicznie to niedowierzająco. Wtem jakiś głosik dyskantowy czy bas głęboki miesza się do chóru pobożnych, co raz głośniej i śmieiej, składając niejako spowiedź publiczną, stawiając pierwszy krok do zbawienia.

Patrzę na dziewczynkę: oczy jej rozjaśniły się, nie ogląda się na otoczenie, nie słyszy jego uwag, nie wstydzi się publicznego przyznania się do winy. Z innej strony jakaś młoda, ładna pani w zbyt kownym stroju przechodząc przystanąła. Nie zatrzymał jej żaden z licznych patetycznych kaznodziej, jeno głos naiwnie śpiewającej dziewczyny, niedawnej może towarzyszkii niedoli. Elegancko odziana pani wsłuchiwała się, twarz jej zbladła, oczy przymknęła i jak pomnik rzetelnej skruchy sta-



nęła wśród tłumu, nie widząc nikogo, rozprawia się ze swoim sumieniem. Oby zwyciężyła, oby znalazła rękę pomocną.

Cała zagadka wpływu Armji leży, zdaje mi się, w tem, że jawnie przyznają się do swego upadku, że dają widomy przykład podniesienia się, że dodają zwątpiałym wiary w możność ocalenia swej duszy, wbrew potępieniu pobożnych i cnotliwych. Armja Zbawienia nie rozwiąże kwestji społecznej, nawet nie ułatwi rozwiązania jej, a jednak ciekawym jest i dla społeczników objawem. W chwilach zwątpienia w instynkt społeczny, w dobroc natury ludzkiej, nierzadkich w czasach wojny i powojennych, najwne, prymitywne skłanianie się ludzi — pozornie poderwanych w swym stosunku do społeczeństwa, do tego co za społecznie dobre uważają, wraca zwątpiałym optymizm. Za Armją Zbawienia nieliczne grupy otaczają mówców prawiących o wszystkich możliwych sprawach, polemizujący chwilami z nimi, ale nie zostają długo.

Po drugiej stronie mówcy katolickiego, mówi równie jak on żarliwy — anglikanin. Wykazuje szkodliwość dla Anglii katolicyzmu, czasem potęguje jego namietność siwy pan, może Irlandczyk, wtrącając uwagi, ale słuchacze równie tolerancyjnie słuchają jednego jak i drugiego, godząc się widocznie z tem, że każda prawda jest względna i że można być innego zdania, nie wyzywając i nie traktując przeciwnika pięścią.

Jakiś bardzo ciemnej cery jegomość wystawia na próbę szowinizm angielski, mówiąc pod tablicą, głoszącą hasła ogólnej braterskiej miłości i solidarności, a w konsekwencji wolności i sprawiedliwości dla Indji. Polityczny temat, podlany sosem altruizmu, nie wyprowadza nikogo z publiczności z równowagi, słuchają go uważnie i widocznie ważą jego argumentację.

Trawniki Hyde-parku pod wpływem 300 letniej kultury pozwalają chodzić po sobie tłumom ludności, nie ponosząc szkody w rozwoju. Jak mnie ogrodnik zapewniał, pilne nawodnianie, koszenie i kultywowanie ziemi to podstawy utrzymania

tych trawników. Czyżby z duszą ludzką tak samo być miało — czy i tu swobodne ścieranie się zdań i wolność wypowiedzenia swego zdania wytwarza tę atmosferę, wśród której umysł ludzki najlepiej się rozwija, tworząc wieczne kobierce myśli?

Ostatni z kolei mówca to ksiądz protestancki. Wypisał na tablicy punkta dyspozycji swojej mowy. Publiczność nie zatrzymuje się przy nim dłużej. Widocznie wystarczy mówcy poczucie wypełnionego gorliwie obowiązku, bo błysk jego oczu świadczy o wewnętrznym zadowoleniu.

Spędziłem popołudnie wśród zgromadzonych, po kilku godzinach wracam ze spaceru po dalekich ulicach miasta, liczne audytorjum wciąż słucha żarliwych wyznań wiary, niezmordowani mówcy i słuchacze.

---

## Whitechapel.

26. kwietnia.

Opanowała mnie nostalgia, pragnę zobaczyć coś swojskiego, słyszeć brzmienia, do których przywykłem, wybieram, się na Whitechapel (czyta się: Uajtczepel). Nalewki londyńskie, czy Kazimierz, jakby powiedziałby Krakowianin, słowem do dzielnicy emigracji żydów polskich i rosyjskich.

Trochę to Nalewki, ale nie całkiem. Ulice dzielnicy proletariatu żydowskiego, zakurzone, zarzucone papierami, na chodnikach stragany z najróżniejszymi towarami. Ruchome stragany na kołach pełne owoców, pomarańcz, jabłek, bananów i rozmaitych orzechów. Jacyś straganiarze sprzedają jadło w woreczkach papierowych, przy ładnie zbudowanych piecykach, zapewniając współwyznawców napisami, że potrawa koszerne. Pominawszy starców, wszystko włosy ma krótko strzyżone, wąs golony, na głowie czapeczka sportowa, bielizna biała, krochmalona. Gdyby nie częste napisy: „koszer“, wątpiłoby się, czy to rzeczywiście uliczni handlarze żydowscy.

Kobiety, wysiadujące w sklepach, typem, postawą i pewną niedbałością w stroju, jak i stroską twarzą nie odbiegają od handlarek miast polskich. Sklepy jednak, pominawszy nieliczne wyjątki, znacznie porządniejsze, niż w kraju.

Zebraków widzę mało, ci jednak, którzy są, usprawiedliwiają swój proceder kalectwem lub jakąś czynnością. Na chodniku leży niewiasta, jakoby tłumoczek odzieży, niewiasta źle odziana, w podartem strasznie obuwiu, krucze kręcone

włosy pokryte kapeluszem i z wielkiem zajęciem kolorowemi kredkami maluje na kamieniach chodnika udatne wcale obrazki. Opanowuje wszystkie dziedziny sztuki malarskiej; krajobrazy, martwą naturę, zwierzęta i ludzi. Maluje widocznie cały dzień, bo zamalowała już wiele metrów chodnika. Dzieci przypatrują się: jeden z chłopców chce porwać jaskrawą czerwoną kredkę, ale inni nie pozwalają.

Nie mogę zrozumieć celu tej żmudnej pracy, objaśnia mnie ładny talerzyk, także namalowany z napisem: „proszę o pomoc“.

Zawiodło mnie oczekiwanie, nie słyszę gwary swojskiej, ani jeden człowiek, stary czy młody, kobieta czy dziecko, nikt nie mówi ani po polsku, ani żargonem, wszystko, bez wyjątku, mówi po angielsku. Wsłuchuję się, gdy cicho rozmawiają między sobą, nic — jeno angielszczyzna.

Typ ulicy inny niż nasz. Ulica główna bardzo szeroka, liczne omnibusy, i tramwaje gubią się pomiędzy bardzo oddalonymi od siebie chodnikami, ale domy po za gmachami publicznymi, teatrami i nader licznymi kinami, niziutkie, wążiuchne, przeważnie zasłonięte napisami kupieckimi. Z reguły o 2 oknach jedno lub dwupiętrowe, na dole sklep, czy pracownia, na piętrach mieszkanie.

Wchodzę w boczne uliczki. Tu sklepy są już rzadkością. Do wąskich, zamkniętych drzwi wchodowych przymocowany ozdobny młotek dla pragnącego wejść, by stukaniem zawiadomił o swym zamiarze. Zaglądam do okna parterowego, mieszkanie schludne, klamki błyszczące, w sionkach po kilka rogożek. Przy oknie stoliczek, na nim porcelanowy, duży malowany wazon, a w nim roślina wielkolistniasta. Widziałem wazony bez kwiatka, ale ani jednego okna bez wazonu. Żydowskim sposobem — obserwowałem to wszędzie na ulicach żydowskich, od Amsterdamu do Wenecji — niewiasty siedzą przed domami i rozmawiają, dzieci gromadnie bawią się na ulicy. Bawią się w Whitechapel inaczej, niż to obserwować mogłem w innych miastach. Tu i żydom sport wszedł



w krew. Chłopcy stawiają się czupurnie i lada o co, przybierają postawę bokserów. Minki tak buńczuczne, że wątpić pocynam, czy to naprawdę te przeważnie blond główki, to żydzi, ale większość chrupie macę, — dziś święta paschy.

Na placyku małym, pokrytym angielskim trawnikiem, wzorowy porządek. Krawędzi trawnika ostre, niepodeptane, klomby pełne kwiatów nienaruszonych. Działwa skacze, wyprawia harce, dziewczęta starsze siedzą na ławkach, czytają same angielskie książki i pisemka dla dzieci, jednocześnie piastują młodsze rodzeństwo.

Hebrajskich liter wcale nie widać, jeden tylko plakat zwrócił moją uwagę, do połowy angielski, do połowy w żargonie, zaproszenie na zebranie trade-unionów (związków zaw.). Gazeta żydowska „die Zeit“ ma napis z liter hebrajskich i na wozach tramwajowych zauważyłem tablicę hebrajską, polecającą wina palestyńskie, po za tem, mimo kilkogodzinnej obserwacji, ani litera hebrajska. Żydowscy kolporterzy roznoszą i wywołują wyłącznie gazety angielskie.

Postanowiłem za każdą cenę ucho napaść dźwiękami swojskimi z ust rodaka, którego los wygnał z nad Wisły czy Pełwi, nad brzegi Tamizy. Widzę kawiarenkę żydowską, zdaleka uspokaja pobożnego przechodnia napis: „koszer“, wchodzę pewny, że znajdę, czego szukam.

Młodą gospodynię, zajętą, angielską, z sąsiadką rozmową, witam głośnem: „Dobry wieczór“, widzę jednak równie zdziwioną minę, jaką mi właścicielka okazuje, gdy powtarzam pozdrowienie po niemiecku. Zapewnia, że mówi tylko po angielsku, rozumie trochę „jüdisch“; ale jej jüdisch do niemieckiego podobny nie jest, to angielski, albo zanglizowany jüdisch, czy raczej dżuisz. Trzeba, było mimo rozczarowania zostać, wypić bardzo dobrą kawę ze śmietanką, zjeść macę, sprowadzone z Michigan z Ameryki, opakowane w pudełko kartonowe, jak biszkopty, dektować się świeżuchnem masłem i przyznać, że wpływ kilku dziesiątek lat Anglii silniejszy był

i zbawienniejszy, niż kilkaset lat indyferentyzmu polskiego wobec żydów.

Trzeba przyjrzeć się tym robotnikom żydowskim, młodym, czy inwalidom wojennym, którzy przychodzili kupować smakołyki świąteczne, by widzieć, co społeczeństwo ze swych członków zrobić może. A owa stenotypistka, czy kantorzystka, wychodząca z biura, śmiejąca się całą rumianą twarzą, tryskająca zdrowiem! Nawet jeść widocznie żydzi nauczyli się w Anglii, w Polsce uważali zdrowe odżywianie się za rozpustę, niegodną cnotliwego.

Nie, daremnie szukałbym Krakowskiego Przedmieścia w Londynie, nie znalazłem też Nalewek. Pozbyłem się jednak dręczącej tęsknoty, jakaś wiara we mnie wstąpiła, że zmieniają się warunki nasze i my się z nimi zmienimy. Nie, Whitechapel, to nie Nalewki, ale to też nie Londyn jeszcze, to po drodze z Nalewek — do Londynu.

Włażę w głąb ziemi, siadam do podziemnej kolejki elektrycznej, której pociągi krzyżują się w ziemi trzy czy cztery jeden nad drugim i wychodząc, oglądam światło dzienne w sercu Londynu, prawdziwego Londynu. Na placyku ustawiono, dla uczczenia poległych, duży krzyż kamienny, do którego przybito, zamiast figury Zbawiciela, miecz ogromny. Signum temporis (znak czasu): w miejsce cierpiącego za całą ludzkość, miecz — udręczenia całej ludzkości. Wokoło krzyża wieńce i kwiaty. Za krzyżem mównica drabinkowa z napisem: „Liga imperjum angielskiego“, na drabince typowy angiłik, kupiec czy przemysłowiec, który po zamknięciu biura, robi propagandę na rzecz imperjałizmu angielskiego.

Mówca pieni się, obtłukuje sobie pięści na listwie drabiny, wykrzykuje na strajki, związki zawodowe i wszystko to, co bezbożni socjaliści wymyślili, by osłabić panowanie Anglii nad światem, obiecuje wszystkim kupcom i przemysłowcom nadzwyczajne dywidendy. Mówcy nie zraża obecność licznych robotników, prawi swoje, apostrofując ich. Robotnicy coraz szybciej puszczają kłęby

dymu z fajek i poczynają obrzucać mówcę uwagami. Mimo, że oczy robotników się iskrzą, mimo, że widocznie czują się dotknięci i niełatwo im słuchać, tak jak gdyby mówiono o rzeczach mniej ich obchodzących, ale widocznie żadnemu z nich przez myśl nie przejdzie, że można skończyć tę zabawę energicznym potrząśnięciem drabinki. Poczucie wolności i wynikającej stąd konieczności zniesienia także niemiłych jej konsekwencji, jest tak silne, że znosi się spokojnie poglądy najbardziej nienawistne.

---

## Strajk górników.

28. kwietnia.

Dziwne ma się wrażenie, gdy się wychodzi na ulicę Londynu po rozmowie z ludźmi, zajmującymi się życiem publicznym angielskiem i mającymi w niem pewne znaczenie.

Stolica Anglii robi wrażenie zupełnie normalne. Plakaty, zawiadamiające o redukcji ruchu kolejowego, lub też wzywające do oszczędzania węgla, spowszechniały lub też ustępują miejsca innym, pozatem żadnego niepokojącego objawu, życie toczy się zwyczajnem korytem.

Inne zupełnie jest usposobienie działaczy politycznych; stale wentylują kwestję, co będzie dalej? jak się sprawa strajku węglowego skończy? Anglicy są narodem spokojnym, rozważnym i stąd najbardziej niespodziewane rzeczy dzieją się bez wrzenia, bez ostrzegających pomruków. Niewiadomo, czy spokój jest świadectwem normalnego przebiegu strajku, czy też daleko idących zmian społecznych, nikt tego osądzić nie może, ani ci, którzy znają tajniki zamiarów kapitalistycznych, ani ci, którzy działając życie całe wśród robotników, powinni zdać sobie z tego sprawę, jaki bieg weźmie obecny zatarg górników. Jedni i drudzy zaczynają i kończą każdą rozmowę pytaniem: co z tego będzie?

Wczoraj i dzisiaj Lloyd George traktuje z górnikami, znawcy zapowiadają, że jeżeli on zdecyduje się na stanowczy krok, sprowadzający górników do zakończenia strajku, to wszystko pójdzie. Ale cóż, gdy on tego kroku nie uczyni, albo ze względu



na obecne położenie przemysłu uczynić nie będzie mógł? Górnicy skłonności do ustępstw nie okazują, mimo, że kasa strajkowa jest pusta. Nigdy kasy organizacji górników nie były w należyтым stanie, a jednak strajki ich zвычайnie trwają długo. Dumnie powołują się na swoje żądania postawione, porządkują ogródki przed domkami, młodzi oddają się sportom, inni dobywają trochę węgla dla własnych potrzeb, zajęcia zabijającego nudy jest dosyć, a pozatem jakoś sobie pomagają. Gdy kasy strajkowe są puste, to osobiste u bardzo wielu na dłuższy czas wystarczą. Inni mają kredyt u kupców. Inni znowu liczyć mogą na pomoc koleżeńską. Poddanie się strajkujących z powodu braku funduszów na dłuższy czas jest nieprawdopodobne. Górnicy nie dbają też bardzo o pomoc kolejarzy i robotników transportowych.

Gdy konferencja zeszłotygodniowa w parlamencie doszła do propozycji poselskiej, a byli tam posłowie różnych obozów, by po podwyższeniu płacy, górnicy wrócili do pracy, a sprawa zasadnicza stałaby się przedmiotem dyskusji, organizacja górników propozycję tę odrzuciła mimo, że związane z nią organizacje uznały potrzebę dyskusji, nie chcąc i nie mogąc polecić swym członkom, by z tego powodu rzucili pracę i rzekli się zarobków. Chodzi o ogromną ilość rodzin, a robotnicy angielscy i kierownicy ruchu zawodowego są rozważni i skrupulatnie obliczają skutki swych postanowień.

Mimo to wszystkie ewentualności są jeszcze otwarte, nikt nie może przewidzieć postanowień związków zawodowych na wypadek dłuższego nadal trwania strajku górników, jak i skutków tego strajku dla innych gałęzi przemysłu, czy i o ile trzeba je będzie unieruchomić z powodu braku węgla.

Na razie kolejarze wożą jeno węgiel dla bezpośrednich interesów społecznych potrzebny, a odmawiają dowozu dla przemysłu. Kilku odmawiających takiej roboty kolejarzy wydalono ze służby, wobec czego związki ich bez względu na strajk górników, żądają pod grozą wyciągnięcia konse-



kwencji, powrotnego przyjęcia wydalonych. Oto incydent wywołany pośrednio przez strajk, a nie będący wynikiem jakichś uchwał czy planów organizacji. Są to automatyczne skutki strajku zawodu jednego dla innych zawodów.

Pytam jednego z przywódców robotników angielskich, jak wygląda sytuacja na terenie strajkowym. Zupełnie jak w Londynie — powiada — zewnątrz zupełnie spokojnie. Warunków, postawionych przez górników, nie przyjęto, więc strajk cieszy się uznaniem ogromnej większości społeczeństwa. Póki strajkujący trzymają się metod, odpowiadających angielskiemu poczuciu słuszności, wszystko jest w porządku.

Publiczność nie bada skutków gospodarczych przyjęcia czy nieprzyjęcia postawionych żądań, to nieinteresowanych bezpośrednio nie obchodzi. Górnicy żądają większej płacy, to ich rzecz, wolno im, gdy się ich warunków nie przyjmuje, niepracować, ale opinia angielska nie zniesie sabotażu. To też wpływ komunistów, z początku groźnie przedstawiający się, nie uwydatnia się, mimo wielkich środków materialnych, stojących do ich dyspozycji.

Rząd chcąc wywołać nastrój przeciw strajkującym ogłasza, że ofiarował na likwidację strajku 10 milionów funtów czyli 40 miliardów marek polskich, ale ludność przyznała słuszność górnikom, gdy w odpowiedzi ogłosili, że strajk kosztuje już 20 milionów funtów, że zatem dziesięciu przyjąć nie mogą.

Onegdaj minister spraw wewnętrznych oświadczył w Izbie gmin, że zna wysokość kwot, nadesłanych z Rosji komunistom, że zna drogi, któremi te kwoty szły jak niemniej osoby, które pieniądze otrzymały i może je wymienić, ale niema ustawy, któraby karała obywatela, przyjmującego od zagranicznego rządu pieniądze — i wszystko jest w porządku.

To tłumaczy wielką tolerancję, panującą tu wobec najbardziej odmiennej opinii, której źródłem jest poczucie prawa, stosowanego również wobec potężnego, jak i wobec słabego. Jeżeli wolno —

to wszystkim, jeżeli zakazano — to nikomu nie wolno i tak każdy, wystrzegając się gwałtu, wie, że i swojej wolności broni.

Minister nie może liczyć na to, że sędzia, ze względów praktycznych; albo nawet ze względu na uznaną potrzebę będzie łamał prawo wobec obywatela, który, nie działając wbrew prawu, postępuje niezgodnie z opinią większości nawet. To jest przeciwdziałanie metodom bolszewickim skuteczniejsze, aniżeli zapełnianie więzień i obozów internowanych ludźmi niewygodnymi, albo szkodliwymi nawet, o ile sami prawnych podstaw do ścigania ich nie dają.

Nie tworzą tutaj niepotrzebnych męczenników, nie robi się propagandy dla idei, które samemu uważa się za fałszywe.

Zbliża się Pierwszy Maja, mniej tutaj popularny, niż na kontynencie, chociaż i tutaj z każdym rokiem rośnie w znaczenie. Tego roku przypada święto proletariatu na niedzielę, brak więc miernika dla entuzjazmu majowego; powszechne i tak zaprzestanie pracy daje świętu majowemu znamię zabawy ludowej i odbiera mu charakter walki i protestu.

Dzięki strajkowi węglowemu konferencja aliantów odbędzie się tutaj, a nie w Paryżu. Hotele i gmachy publiczne wywiesiły sztandary możliwiejszych państw zjednoczonych, domy prywatne na razie zachowują się biernie. Pisma donoszą, że przyjechali też przedstawiciele socjalistycznych stronnictw niemieckich, by działać w interesie ulg w ciężarach reparacyjnych dla swego narodu. Spotkają tu wiele sympatji u intelektualistów angielskich, jak niemięcej i u tutejszych robotników. Jeden z wybitnych tutejszych towarzyszy powiedział mi, że progermanizm, jak tu sympatję dla Niemców nazywają, nie trzyma się koniecznych granic, przez sprawiedliwość wobec innych narodów wskazanych. Być może, że działanie P. P. S. wpłynie na zbliżenie się Partji Pracy do tych granic i bodaj w części naprawi błędy polityki polskiej w stosunku do Anglii.



## Bob.

30. kwietnia.

Sobota po obiedzie. Świąteczna cisza. Domy jakby wymarły, story pospuszczane, sklepy pozamykane, ani znaku życia. Ruch kołowy prawie ustał, przechodniów mało. Sobota po południu w dzień upalny.

Wszystko przyjęło nastrój 40-godzinnej niedzieli, jedyny tylko Bob, policjant angielski, spełnia swe funkcje niewzruszenie. Jego nie obchodzi, czy to czas odpoczynku, czy czas nabożeństwa czy pracy niezmordowanej — on jednostajnie, cicho, spokojnie spełnia swój obowiązek.

Jest widocznie specjalna hodowla Bobów w Anglii, czy szczególna jakaś ich rasa. Boby, podobni są do siebie, jak członkowie jednej rodziny, jak bracia. Mają czasem może odmienne rysy twarzy, niektórzy są za otyli, ale postawa, jakiś ruch ciała są wszystkim Bobom wspólne. Gdziekolwiek Boba zobaczysz, powiesz: Bob. Każdy Bob ma 2 metry wysokości, małych Bobów niema wcale.

Rząd nasz próbował Boba przenieść do Polski, niestety próba ta, po za paskami na rękawie, chociaż i te prawdziwy Bob zawsze ma czyste, nie adłała się. Tak czasem hodowcy sprowadzają buhaja rozplodowego z zagranicy, czy szczególny gatunek zboża, ale o zgrozo, bydło czy nasienie zwyrodnienie i w następnej generacji mamy bydelko znów takie jakie było, czy ziarno mniej wydajne czy mniej urodzajne. Tak chcąc mieć Boba trzeba środowisko bobowe stworzyć.



Wszelka reforma zacząć się musi od ministra oświaty, od szkoły ludowej wychowującej młodzież społecznie. Ciekawe są potężne wysiłki, poczynione w tym kierunku przez Niemców, podnoszących się ledwie z ziemi po ciężkiej druzgocącej klęsce. — Prawda, reformę szkoły poprzedza reforma nauczyciela, a jego — praca światłych osobników, wnoszących do narodu nowego ducha, zapładniających atmosferę duchową nową myślą. Nie wiem jak się nazywają ci wielcy ludzie, którzy nowego ducha wnosili do szkoły, rozwijali go i utrwalali ale byli to najwięksi wśród nas i najmądrzejsi i najgłębiej patrzący.

Znamy wielkich ludzi wśród Anglików, każdy zna bodaj ich nazwiska, ale oni w Anglii niczego nie tłumaczą. Sami Anglicy ozdobili swą akademię umiejętności przodownikami myśli całego świata: są tam Bacon i Adam Smith, Cycero i Goethe, Leibnitz i Newton i wielu wielu innych. Ale jak to wszystko dostało się w dół, jak to przetrwała kultura narodu? Jak oni umożliwili Boba? Pragnąłbym uzupełnić dzieło pana Wojciechowskiego i do opasek na rękawie dołączyć tę atmosferę respektu przed obywatelem, przed istotą ludzką, chciałbym dołączyć to zrozumienie, które w krew weszło Anglikowi, że swoboda jednostki jest jeno możliwą wtedy, gdy każdy tylko to czyni co drugiemu nie przeszkadza. Pragnąłbym, byśmy wszyscy wiedzieli, co wolno bez szkody dla ogółu, ale, że co wolno, to wszystkim zarówno wolno. Że demokracja polega na praworządności, a praworządność na troskliwym przestrzeganiu praw przez możliwych, przez ludzi do strzeżenia tych praw powołanych. By nie kryminał był stróżem prawa i obyczajności, lecz opinia publiczna, by każde pogwałcenie prawa wywołało płomienne oburzenie powszechne, bez względu kogo spotkało, czy to robotnika, czy Żyda, czy Rusina. Bym nie słyszał nigdy tych słów obojętności i oportunisty wobec zbrodni, od których się krew ścina w żyłach, a których tyle słyszałem od tych, którzy na świeczniku stoją narodu.

Tak cicho na ulicach Londynu, tak świętecznie jak w potężnej świątyni, i myśl ucieka od cichego, czujnego Boba het w przestworza dalekie, przez morza i kraje odległe, do miejsc, do ludzi z którymi ponad świadomość zrośliśmy się.

Staję się sentymentalny. Redaktor gotów całego Boba wrzucić do bezdenne go kosza, tej antytezy płodnych nożyczek redakcyjnych. A pragnąłbym zapoznać Was z Bobem.

Bob nie ma broni. Bob może nie mieć broni — co za dziwo. Nawet tej pałeczki zadającej, jak czytałem, bolesne razy, nie widziałem u żadnego z Bobów.

Na placu powstałym ze skrzyżowania się ulic stoi ich kilku, czasem kilkunastu. Kierują ruchem ulicznym spokojnie, cierpliwie, bez wydania głosu, bez okrzyku. Gdy Bob chce, by nieskończony wąż automobilowy stanął, odwraca się do nich plecami i jak drogowskaz wysuwa rękę. Nie mówiąc nic, spojrzeniem tylko porozumiewa się z kolegami i rozwikła najgroźniejszy węzeł busów (autobusów), taxi (automobili z taksometrem), rowerów, lokomotyw ulicznych, jak domy wielkich automobili ciężarowych, bryki z końmi jak słonie, wielkimi, wózków ręcznych, wózków z dziećmi małymi, cabów o dwóch kołach, pojazdów zaprzęgniętych w czwórkę, z trębaczem dającym sygnały trąbą na dwa metry długą. Bob sterczy nad tłumem i wszystko wokół widzi. Gdy staruszka przejść chce przez ruchliwą ulicę, dziecko czy kaleka, Bob nie czekając na ich prośby wstrzymuje ruch na Trafalgar square czy przy Mansion-House i pomaga potrzebującemu pomocy, biorąc go pod ramię. Bob nie boi się, by ktokolwiek na ulicy wyłamał się z dyscypliny: cały Londyn stanąłby przeciw niemu, bez względu na osobę czy popularność. Przez niesforność można zwrócić przeciw sobie opinię wszystkich.

Nie widziałem Boba zirytowanego, cała jego energja skupia się we wzroku, reszta organów to jakby mechanizmy kierowane z jakiegoś centralnego punktu. Bob ma ruchy automatu.

Pozornie Bob na wszystko jest obojętny, ale w decydującej chwili działa: on wszystko widział i słyszał, nie daje się jeno wytrącić z równowagi. Panowanie nad sobą iluż to generacji, leży w Bobie!

Zbliżasz się do Boba, on tego nie zauważył, ale gdy się chwilę wahasz on jest przy tobie i chłodno, grzecznie pyta czem może służyć. Bob wszystko wie, on da ci każde wyjaśnienie, albo bodaj wskazówkę, gdzie się możesz dowiedzieć. Bob nie będzie z Tobą rozprawiał, mówiąc z Tobą spokojnie, patrzy na ulicę i gotów jest każdej chwili zapobiec nieszczęściu. Dzięki Bobowi kronika wypadków w Londynie nie stoi w żadnym stosunku do ogromu ruchu, do wielkości tego środowiska ludzkiego, liczącego więcej ludności niż połowa Kongresówki. Bob wychował sobie ulicę Londynu.

Bob jest gentlemanem, on nie słyszy tego, czegoś do niego nie mówił i gdyby to była złośliwość przeciwko niemu zwrócona, lub inne jakies prowokacji władzy. Bob z urzędu chodzi na tłumne zebrania uliczne — interesuje się jednak tylko tem, co do niego należy. Bob nie słyszy mówcy, ani uwag słuchaczy, on pilnuje jedynie porządku na ulicy. Gdy zechcesz dokonać na kim gwałtu fizycznego, wtedy poznasz Boba i jego sztukę poradzenia sobie z niesfornym.

Gdy mówca piorunuje z drabiniastej trybuny, Bob liczy okna sąsiedniej kamienicy, albo obserwuje niebo, spokojnie, niewzruszenie, strzeże okien sklepowych, zagrożonych obecnie djamentami szklarskimi sifenierów. Bob jest obywatelem wykonującym ściśle, uprzejmie, a bezwzględnie i umięjętnie swój obowiązek publiczny, a społeczeństwo wie o tem i w tem, zdaje się, rozwiązanie zagadki ich wzajemnego stosunku.

## Pierwszy maja.

Nigdy działacz socjalistyczny nie czuje się tak bardzo obcym na obczyźnie jak w dzień 1-go Maja. Brak swoich, brak świątecznej atmosfery, której obczyzna nigdy, zdaje się, nie da.

Los wynosił mnie często na pierwszy maja po za granice Polski, ale tak bardzo obcym nie czułem się nigdy. Przedewszystkiem, pierwszy chyba raz w życiu nie przemawiałem na zgromadzeniu majowym, a następnie — Anglja tak całkiem jest inna od kontynentu.

Dowiadywałem się u tow. angielskich, jak obchodzić będą Pierwszego Maja, gdzie zgromadzenia i t. d.: wszystko — powiedzieli — w Hyde-Parku. Kiedy, o której godzinie, wcale nie pytałem, gdyż wedle dotychczasowych moich doświadczeń, zgromadzenia majowe odbywają się wszędzie rano. Idę więc w uroczystym nastroju, ale bez znaczka majowego, bez programu do tej największej w świecie sali zebrań, do lokalu klubowego ulicy londyńskiej, do Hyde-Parku i zastaję mnie i czytelnikom listów moich dobrze znanych agentów rozmaitych wyznań, werbujących klientów dla swoich firm. Mówią godzinami, zadawalają się grupką słuchaczy, a gdy tej niema, mówią, licząc, że ostatecznie się znajdą.

Widzę, że przechodnie ozdobieni są wszyscy prawie białą chorągiewką z niebieskim napisem — ha, co kraj to obyczaj, może w Anglji maj socjalistyczny jest niebiesko-biały.

Kupuję znaczek i czytam zdumiony: Na robotników w Palestynie, na drugiej stronie napis



hebrajski. To w miejscu, gdzie Żyda rzadko spotkać można. To nic. Palestyna to ziemia święta, kwestja robotnicza to najaktualniejsza sprawa, każdy daje jednego, czy nawet kilka pensów. Podejrzewam, że to Poale-Sion nabiera dzisiaj mnóstwo pensów angielskich.

Pierwszego Maja ani śladu. Szukam pism, których można dostać u straganiarzy — socjalistycznego ani jednego.

Nie, takiego zepsutego święta majowego jeszcze nie miałem.

Wracam do miasta i widzę mimo bardzo słabego ruchu ulicznego masę policjantów ustawionych wzdłuż chodników. Nie przypuszczałem, by Londyn miał taką masę policjantów, by przez całe miasto ustawić szpaler Bołów. Idę wzdłuż spaceru na dalekie ulice, pewny, że to przygotowania majowe, aż nareszcie późno, po godz. 2-iej po południu słyszę śpiewy, muzykę — awangarda pochodu robotniczego.

Czoło pochodu stanowi dziatwa, wpakowana do omnibusów potężnych wozów ciężarowych, ozdobionych czerwienią, z napisami i chorągiewkami, dzieci śpiewają, śmieją się, wznoszą okrzyki. Hip, hip, hura!

Z dziećmi nauczyciele i nauczycielki — to socjalistyczne szkoły niedzielne. Obok wozów wyprawiają zbytki, bawią dziatwę dwaj kłowni. Jeden o twarzy wybielonej, drugi gruntownie pocerniony. Wśród wozów dzieci, wozy redakcji. Wielka platforma, napis ogromny „Justice“, tytuł starego pisma socjalistycznego, wokoło tablicy grono osób, na innym na środku ogromny kogut z desek zbity, za nim kłown, zielen, chorągwie i napis: „Daily Herald“, tytuł komunistycznego pisma. Co do reklamy „Daily Herald“ prześcignął wszystkie inne. Ogromna ilość pojazdów dzieci nosi napisy; niewiem jaki jest ideowy związek między ogromnym białym niedźwiedziem z aksamitu, a komunizmem, którego wóz reklamowy zdobi: „Daily Herald“ i komunistyczne hasła.

Wzdłuż pochodu dzieci sprzedają goździki

czerwone, pisma socjalistyczne dla młodzieży, programy święta majowego, gazety świąteczne i t. d.

Dochodzimy do Hyde-Parku.

Dzieci wysiadają, konie wyprzęga się i puszcza na paszę na trawnikach parku, z wozów powstaje ogromny tabor.

Dzieci formują pochody, wtem nadciąga pochód organizacji. Sztandary ogromne, w najrozmaitszych kolorach, wpięte między dwoma drążkami. Ciężkie i sztywne, bo pomalowane z obu stron olejnymi farbami. Najrozmaitsze symbole, często bardzo prymitywne, sceny z życia, obrazy satyryczne, czasem żartobliwe. Sztandarów nieprzebrany las. Każdy sztandar otoczony kilkudziesięciu ludźmi, często poprzedzony muzyką. Czasem orkiestra kompletna, jak u nas, wojskowa, ale przeważnie muzyka, złożona jedynie z fletów i bębnow. Orkiestry w pstrych mundurach.

Dygnitarzy organizacji i chorążych przy każdym sztandarze kilku, przez ramię opasani szarfą szeroką, złotem lub srebrem wyszywaną z napisem lub emblematami.

Pochód prowadzi policja konna i piesza. Towarzyszą organizacjom, wyprzedzają je, torując milcząco miejsce wśród widzów. Boby mają minę urzędową i zupełnie jak na posterunkach, patrzą bystro przed siebie w charakterystyczny sposób, badając starannie teren i przeszkody, mogące stanąć na drodze. Obok policji liczne kolumny sanitarne, zaopatrzone w środki ratunkowe.

Jednym z dwóch marszałków pochodu jest H. Waight z narodowej unji policjantów.

Na czele pochodu kroczą organizacje polityczne, partje socjalistyczne najrozmaitszych odcieni, organizacje do specjalnych działań.

Uwagę moją szczególnie zwraca oddział chrześcijan socjalistów, organizacji socjalistycznej, opartej na chrześcijaństwie. Oddział wyprzedza nagi ogromny krzyż dębowy, na sztandarach obrazy na tle ideowem.

Za politycznymi organizacjami kroczy właściwy pochód, organizacje zawodowe. Sztandar za

sztandarem, kolejarze, szewcy, krawcy, metalowcy itd. itd. piekarze, o dziwo, w kraju tradu uniońców, żądają 8 godzinnego dnia pracy. Każda grupa dzielnicowa ze swoim sztandarem, nadzwyczajnie wielka ilość orkiestr i sztandarów grup kolejowych. Trudno doczekać się końca pochodu, zgromadzenia już się rozpoczęły.

Trybun jest dziesięć. Program podaje przewodniczącego i mówców każdej trybuny. Z każdej trybuny przemawiają różne partje i organizacje, przyczem stosowano angielską zasadę niekrępowania nikogo i respektowania każdego punktu widzenia. Na każdej z trybun przemawia jedna kobieta.

Na trybunach między mówcami znajdują się księża Rev. Tom Syrks, Rev. B. W. Sorensen, Rev. W. H. Armstrong i Rev. Dr. Orchard. Z niektórych przemawiają przedstawiciele brytyjskiej ligi esperanto.

Kooperatywy stawiają swoich mówców.

Trybuny od siebie tak oddalone, że mówcy siebie wzajemnie słyszeć nie mogą. Słuchacze w ciągłym są ruchu, wędrują od jednej trybuny do drugiej. Posłuchają trochę komunisty, zwracają się do księdza ubranego w świąteczną rewerendę, potem do mówcy-kobiety, by nareszcie spocząć na trawie, oddychać czystem powietrzem łąk i patrzeć w lazu pogodnego, wiosennego nieba.

Święto majowe jest tu świętem majowym w najszerszem znaczeniu słowa. Do Hyde-Parku robotnicy przychodzą z całą rodziną, jedno dziecko na ręku, drugą trzyma się inne maleństwo, obok żona z dzieckiem w każdej ręce, tak maszerują w pochodzie i tak na łące rozkładają obozowisko.

Wśród tłumu robotników drugie tyle ciekawej publiczności, bez odznak majowych, akcentującej bierny swój udział.

Ma się wrażenie, że Pierwszy Maja jest tu świętem pokoju, świętem zgody. Nad uczuciami dominuje nastrój wiosny, wycieczki z ciasnego mieszkania na łono swobodnej natury.

Nikomu na myśl nie przyjdzie w Hyde-Parku, że jednocześnie odbywa się bardzo zacięta, brze-

mienna w skutki walka klasowa. Nikt nie pomyśli widząc wesołe tłumy rozbawione, że w Anglii z powodu strajku węglowego zamiera pomalą cały przemysł, stają koleje, społeczeństwo znajduje się w najgroźniejszym położeniu.

Obok masowego mitingu robotników, jednocześnie w Hyde-Parku, odbywają się harce na koniach, spaceru w autach, dziesiątki tysięcy spaceruje po kobiercach łąk, tysiące otaczają grającą orkiestrę gwardji. Na rogach sfanatyzowani i zawodowi, chłodni mówcy, grożą piekłem i djabłami i wskazują drogę wprost do nieba, śpiewają psalmy i inne nabożne pieśni.

Wszystko bez troski, w całym życiu myśli i uczucia dalekie od realnego kryzysu, który Anglja przebywa

O, bo Anglicy to najkonkretniejszy, najpraktyczniejszy, najrealniejszy naród na świecie.

Każdy ma swój fach, jeden bawełną handluje, drugi kawą, jeden pracuje nad nowym motorem, drugi nad najdogodniejszą i pewniejszą drogą dla duszy ludzkiej do nieba, jeden oddał się esperanto, drugi piłce nożnej. Inni zajęli się polityką, i z nią związanymi sprawami społecznymi. Ich rzeczą jest strajk węglowy, potęga Anglji, i możliwość istnienia tej wyspy, ssającej swe siły żywotne z wszystkich części kuli ziemskiej.

Polityk nie miesza się, ani do esperanto, ani do futbolu, więc i futbolista i esperantysta do polityki się nie mieszają. Każdy ma swój fach i powodzenie jego fachu jest jego troską.

Futbalista broni dobrze bramki, a po za tem chce mieć spokój.

Niedawny match futbolowy w Londynie więcej wrzawy i sensacji ulicznej wywołał, niż strajk górników z 1-ym maja razem.

Nic dziwnego: więcej jest futbolistów w Anglji, niż polityków.



## U Labour-Party,

W maju, 1921.

Posel Tom Shaw (Tomasz Szo) wyznaczył mi schadzke w gmachu parlamentu angielskiego Gotycki gmach, olbrzymie okna witrażowe, potężne wieże, wszystko po za ogromną terasą, wychodzącą bezpośrednio na Tamizę, robi wrażenie kościoła.

Licznych wejść strzegą policjanci. Oni dają informacje, pytają przybyszów o ich życzenia, przyjmują zgłoszenia do posłów. Ze względu na niemiłe niespodzianki, urządzone przez sinfeinistów, wstęp na posiedzenie parlamentu gościom jest bezwarunkowo wzbroniony. Nawet loża dla „dystyngowanych obcych“ świeci pustkami. Gdy Shaw, otrzymawszy moją kartę, polecił mnie wpuścić, policjant tubalnym głosem wywołał jego nazwisko, zawiadamiając mnie w ten sposób, że mogę przekroczyć progi pilnie strzeżonej świątyni angielskich swobód obywatelskich.

Przyszedłem nie w porę, gdyż właśnie odbywały się wybory speckera-przewodniczącego. Tow. Shaw był bardzo podniecony, gdyż chwila ta, jak mi powiedział, stanowiła wielki przełom w historii parlamentaryzmu angielskiego; wybrano prezesem izby gmin — kupca. Jak świat światem, speckerem był właściciel dóbr, adwokat, sędzia, ale kupiec dopiero po przewrotach wielkiej wojny światowej mógł zasiąść na worku pełnym wełny, stanowiącym tron prezydjalny. Żałowałem bardzo, że nie mogłem być świadkiem tradycyjnych ceremonji, jak to posłowie robią szalony

gwar, by zadokumentować, że niema prezydenta, jak pojawienie się urzędnika w peruce z warkoczykiem, złotym łańcuchem i medalem na piersi, ze szpadą u boku i berłem parlamentu w rękach sprowadza ciszę, jak najwyższy urzędnik na migi — gdyż nikomu prócz posłów w parlamencie mówić nie wolno — daje znak prezydentowi ministrów, by zaproponował wybór prezydenta, jak przedstawiciel opozycji stwierdza, że nic niema przeciwko osobie kandydata, ale musi korzystać z niezaprzeczonych praw opozycji i zaprotestować przeciwko jego wyborowi.

Nie widziałem też jak speaker, schroniwszy się do szarego kąta Izby, stamtąd oświadcza, że nigdy nie miał zamiaru ubiegania się o taką wysoką godność, że jednakowoż podda się woli parlamentu.

Bez świadków niepowołanych udał się tym razem speaker do Izby lordów, by czekających nań lordów, przedstawicieli króla, odzianych w szkarłatne płaszcze, ozdobione gronostajami, w perukach i kapeluszach w formie ślimaków, prosić o pozwolenie przyjęcia godności, na co król już z góry zgodził się pismem odręcznym.

Gdym zwrócił Shawowi uwagę na niezrozumiałe dla człowieka z kontynentu przywiązanie Anglików, nawet radykalnych bardzo, do przastarych ceremonji, Shaw uśmiechnięty dobrotliwie i pełen zadowolenia z doznanych właśnie wrażeń, odpowiedział:

— Tak, ale jakie to ładne, jakie miłe.

O sprawach, które mnie do Londynu sprowadziły, o polityce Anglii, a w szczególności Labour-Party (Partji Pracy) wobec Polski rozmawialiśmy ze Shawem długo, wyjaśniając sobie nawzajem trudno zrozumiałe dla obcego nasze wzajemne stosunki. O ile z rozmowy z Anglikami można o tem sądzić, doszliśmy do porozumienia.

Sam Shaw ostrzegł mnie, bym nie brał uprzejmości Anglików zbyt pochopnie za wyraz życzliwości i zgody.

Za pośrednictwem Shawa przyjął mnie prezes stronnictwa, Henderson w biurach Labour-

Party, zajmujących cały dość obszerny dom. Rozpocząłem rozmowę pytaniami o strajku górniczym w Anglii, stosunkach w Trade-Unionach (Związkach Zaw.), prądach radykalnych w socjalizmie angielskim, słowem o wszystkich sprawach, nas w Anglii tak bardzo zajmujących.

Po omówieniu tych spraw zamieniliśmy role i począłem objaśniać Hendersonowi stanowisko P. P. S. w sprawie górnośląskiej. Henderson polecił służyćemu by zawezwał p. Scotta, asystenta, od spraw górnośląskich i zjawił się młody człowiek z ogromnem pudłem, z którego powyciągał i na stole rozłożył masę druków i aktów. Po każdym ustępie mojego przemówienia młody Anglik przy pomocy traktatów, komentarzy, statystyk i t. p. wyjaśniał sprawę ze swego stanowiska. Gdyśmy temat wyczerpali, Henderson zaprosił mnie na posiedzenie komisji spraw zagranicznych Labour-Party do gmachu Izby gmin.

Po przebyciu szeregu formalności zaprowadził mnie sekretarz klubu pod drzwi sali obrad i pozostawił mnie dłuższy czas samego. Począłem się już niecierpliwić, gdy drzwi otworzyły się naocież i sekretarz wołał głośno, jak gdyby mnie nie widział, albo jakgdybym nie był sam na pustym prawie korytarzu: „Prezydjum komisji spraw zagranicznych prosi posła Diamanda, członka Sejmu polskiego, by wszedł“. Na dosyć wysokiej trybunie zajął miejsce przewodniczącego znany pisarz socjalistyczny tow. Brethford, otoczony kołem uprzejmie, łagodnie uśmiechających się członków komisji. Miałem wrażenie jakoby stanął wobec senatorów holenderskich, wyjętych z obrazów Rembrandta. Powitalnego przemówienia przewodniczącego wysłuchałem stojąc. Dopiero po mojem podziękowaniu wskazano mi miejsce. Kilka dni przed tem zebraniem zaopatrzyłem wszystkich obecnych w streszczenie mojej argumentacji w sprawie Górnego Śląska, ułożone w formie pytań i odpowiedzi. Przekonałem się bowiem, że licznych książek, mów i rozpraw obszernych wysłanych przez Rząd i Sejm, nikt prawie w Anglii nie czytał.



Komisja obficie korzystała z przedłożonych jej przeze mnie notatek, kontrolując podczas mego przemówienia bogaty materiał liczbowy. Dostałem się w formalny ogień krzyżowy pytań, na które, chcąc pozyskać opinię obecnych metodą podpatrzoną na zebraniach w Hyde-parku, trzeba było dawać możliwie cięte i dowcipne, a bodaj złośliwe odpowiedzi. Nie szczędziła też pytań obecna niewiasta, w szczególności co do bojkotu Niemców i Żydów w Poznańskim. Najczęściej atakował mnie poseł pułkownik Wedgewood — widocznie kawalerzysta, gdyż cała jego siła w atakach — swoją drogą o sprawy, które o ile nie stoją w przeciwieństwie do militarystyki, z nim co najmniej wspólnego nic nie mają. Żądał tolerancji w Polsce dla przekonań, wolności dla narodów i wyznań, sprawiedliwości dla słabych i uciskanych, słowem przykładał do nas miarę angielską, stosowaną jak się zwykle dzieje na — eksport.

Z wyszukaną ironją pytał czy „Upper Silesia“ nie leży koło Wilna, a gdym odpłacając się pięknem za nadobne spytał, czy pan pułkownik ma na myśli geograficzne położenie, wyjaśnił, że chodzi o stosowanie metod tych samych, dowiadując się jednocześnie, jak się nazywa Żeligowski śląski.

Wiedziałem, że koniecznie trzeba odrzucić piłkę w mą stronę rzuconą, tak by, o ile możności, trafić szanownego wielce pułkownika w nos. Usiłowałem więc zdobyć się na możliwie najwyszukańszą, a dostępną mi wytworność i zapewniłem, że gdyby przyroda nie była mnie zupełnie pozbawiła złośliwości, a respekt przed tak szanownem zebraniem nie onieśmielił mnie, podałbym analogję znacznie trafniejszą.

— Naprzykład jaką?

— No naprzykład Irlandję!

Widocznie rzut był dobry, gdyż widzowie zapasów potakiwali mi, uśmiechając się.

Na zabraniach 1 Maja socjaliści angielscy uchwalili rezolucję w obronie Irlandji, nie była więc moja uwaga zwróconą przeciw zebrany, tyczyła się metod angielskich sfer rządzących.



Poty mnie oblały gdym zoczył, że odpowiadać mi przypadło za grzechy czynników, które dostały się w Polsce do władzy.

Zdawałem w życiu wiele egzaminów, ale ten wydawał mi się jednym z najtrudniejszych.

Trudno nie mijając się z prawdą, pozyskać sympatję dla państwa polskiego, rządzonego przez reakcję przesiąkniętą rosyjsko-pruskiemi metodami, trudno uzyskać wiarę u obcych w to, w co sam święcie wierzę, że żyjemy w fazie przejściowej, że reakcja jest okresem przemijającym, że

„Naród nasz jak lawa

Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa  
Lecz wewnętrznego ognia...”

A jednak trzeba było wysilić wszystkie siły intelektu, aby wiarę własną przelać w słuchających.

Przedstawiono mi wiele faktów nadużyć i gwałtów wobec Ukraińców, żydów, gospodarke na kręśach i t. d. i t. d. Pułkownik Wedgewood przy końcu konferencji apostrofował mnie w sposób następujący:

— Powiedz pan swemu rządowi i swemu społeczeństwu, że nie mogą liczyć na sympatję Anglii, póki niema sprawiedliwości w Polsce, póki trwać będą prześladowania żydów.

Gdym odpowiedzieć chciał, powstrzymał mnie ruchem ręki, dodając:

— Nic pan nie mów, mówię na podstawie własnych obserwacji.

Nader uprzejma mowa pożegnalna przewodniczącego i wszechstronne podziękowanie za informacje...

Czy to objawy uprzejmości tylko?...

W kilka dni potem Tom Shaw wniósł w Izbie gmin interpelację Labour-Party życzliwą dla Polski, broniącą praw robotnika polskiego do Górnego Śląska.

Więc nie uprzejmość tylko!



LUDOWE  
SPÓŁDZ. TOW. WYDAWNICZE  
WE LWOWIE, ULICA SYKSTUSKA 21/II.

POLECA:

*Dr. A. Próchnik*, „Demokracja Kościuszkowska“

*Feliks Hollaender*, „Jezus i Judasz“

*I. K. Korzeniowski*, „Prowokator“, powieść  
ilustrowana

*A. Ćwikowski*, „Pod łuną“

*W. Raort*, „Śmieszne historje“, wyczerpane

„Wesołe Impertynencje“

„Za Cesarza“

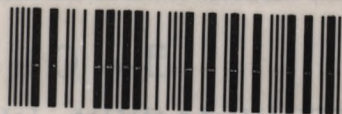
*A. Chmurny*, „Ciernie Śląskie“

*E. Jędrkiewicz*, „Świątki i centaury“

*Karol de Coster*, „Wesołe bractwo tłustych  
gąb“

Wojewódzka Biblioteka  
Publiczna w Opolu

CM KEK 330449



000-330449-00-0

SPÓŁDZ.

WE LWOWIE, ULICA SYKSTUSKA 21/II.

POLECA:

BIBLIOTEKA SOCJALISTYCZNA:

- K. Kautsky*, „Socjalizacja a Rady Robotnicze“ . . . . . 10 M.
- J. Grünwald*, „Rady fabryczne i Związki zawodowe“ . . . . . „ 10 „
- F. Engels*, „Zasady komunizmu“ „ 10 „
- Czapiński i Niedziałkowski*, „U źródeł bolszewizmu“ . . . . . „ 25 „
- O. Bauer*, „Bolszewizm a socjal-demokracja“ . . . . . „ 100 „
- „Pieśni robotnicze“ . . . . . „ 70 „
- „Proletariat wobec kwestji ludn. . . . . „ 30 „
- I. Daszyński*, „Z burzliwej doby“ mowy sejmowe . . . . . „ 20 „
- Inż. E. Libański*, „Quo vadis, Polsko“, głos na czasie . . . . . „ 10 „
- „Ustawa o ochronie lokatorów“ z objaśnieniami . . . . . „ 10 „